MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 3 (42) WARSZAWA, 17 PAŹDZIERNIKA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

ODRODZENIE POLSKIEJ MYŚLI POLITYCZNEJ

WSPÓŁCZEŚNI nie orjentują się w dziejach swojego narodu, jeśli przełom polega na zdarzeniach wewnętrznej natury. Najtrudniej jest obudzić w społeczeństwie świadomość dziejową, gdy przemiany następują wskutek mimowolnego poddawania się ogółu prądom umysłowym, gdy te, trafiając do instynktu narodowego, lub płynąc z niego, stają się aktualnym procesem twórczości narodu. Zdarzeniem takiem w dziejach nowoczesnych Polski były narodziny prądu wszechpolskiego przed laty kilkudziesięciu, który ogarnął wszystkie dzielnice, przywracając krwi polskiej normalne krążenie. Krew, która wskutek praktyk politycznych i wychowawczych, na ciele polskiem dokonywanych, zalewała mózg do nieprzytomności, powodując bezwład na zmianę z drgawkami konwulsyjnemi, poczęła normalnie mózg polityczny odżywiać. Dokonał się niepoznacznie zbawienny proces rozłożenia myśli narodowej na szersze kręgi, poza przywilejowanemi gabinetami, ciemnemi salami lóż, biurkami literackiemi, na wzmocnione dopływem sił ludowych zastępy młodej inteligencji, mającej bezpośredni kontakt z naturą ducha narodowego, z instynktem. Dokonał się dalszy etap tego postępu wewnętrznego w życiu narodowem, którego poprzednim krokiem sto lat temu było drgnienie romantyzmu. W tym drugim etapie jednak już nie przeczucie, nie odruch poetycki Mickiewicza: precz z formułkami i doktryną!, lecz rozmysł polityczny zapanował nad sytuacją. Hasło nawrotu do natury pojawia się zawsze tam, gdzie duch zmęczony sztucznością życia, dopomina się swoich praw organicznych. Zdawało się się nam przed stu laty, że duchowi potrzeba odkarmienia surową przyrodą sielską: on szukał dostępu do swego podłoża w instynkcie narodowym. Nasze pokolenie poszło dalej i odnalazłszy wątek myśli dziejowej, przerobiło go na świadomość woli życia historycznego.

Kiedy wiek XIX zeszedł jeszcze na czynach bezwiednych, tłumaczonych potrzebą odruchu uczuciowego, dzisiaj nikt w Polsce nie ma już prawa tłumaczyć się, że nie wie, co się z Polską dzieje i do czego jest obowiązany. Sprawił to ów ruch umysłowy, zwany wszechpolskim, stawiający sprawy twórczości narodowej na gruncie skoordynowania myśli politycznej z samowiedzą narodową. Mógł to być ruch tylko nowożytny, uwarunkowany przemianą stosunków społecznych w duchu demokratycznym. Romantyzm dopiero dzwonił na tę przemianę.

Zasadniczym rysem nowej myśli było proste postawienie sprawy patrjotyzmu jako faktu, nie wymagającego doktryny i uzasadnienia, a tembardziej wstydliwego usprawiedliwiania. Postawiono go na gruncie przyrodniczym: jest bo jest. To była „natura“ rzeczy, o której marzono. Odtąd sprawa patrjotyzmu stanęła na gruncie nacjonalnym. Drugi refleks tej myśli, wkraczający w dziedzinę etyki był: patrjotyzm nie jest łaską jednostki czy klasy, lecz obowiązkiem. Bo wszystko, co z tych spostrzeżeń wkraczało w etykę społeczną i politykę, fundowało się na przeświadczeniu filozoficznem, że życie narodu jest na ziemi najwyższą wartością człowieka, której on podporządkować musi interesy swoje osobiste i swojej klasy. Na pograniczu środków i celów tej zasady głównej leżało rozpoznanie stosunku do głównej masy narodu, jaką jest lud. Tutaj szła w rachubę kwestja ilości i jakości siły narodowej, głębokości i trwałości podwalin cywilizacji narodowej, której kapitałem żelaznym jest lud. Tutaj znalazły uzasadnienie dawne wyczucia poetyckie i późniejsze teorje demokratyczne ludowości społeczeństwa i wynikający stąd obowiązek bacznego uwzględniania interesów ludu w budowie cywilizacji.

Z tych założeń rozwinięta praktyczna działalność polityczna, a zwłaszcza wychowawcza coraz liczniejszych kół inteligencji, celującej tężyzną moralną, działalność potęgująca się przy pomocy organizacji stronnictw dzielnicowych, przeobraziła w Polsce typ człowieka oświeconego i spowodowała, że wielka wojna nie zaskoczyła naszego społeczeństwa w stanie zupełnej dezorganizacji, lecz mogła być wykorzystana dla sprawy naszej wolności.

W tym roku przypada 30-ta rocznica założenia „Przeglądu Wszechpolskiego“, który był głównym warsztatem tej wielkiej pracy umysłowej. Początek ruchu był wcześniejszy, jego źródła widzimy już przez 40-tu laty w „Głosie“, który w rozlewie idej demokratycznych, szukających ujścia w reformatorskim ruchu socjalnym, przygotowywał łożysko prądu nacjonalistycznego. Data odgrywa mniejszą rolę, ta jednak, czy inna daje sposobność zastanowienia się nad dokonaną w tym ostatnim okresie pracą.

Rozumienie tego okresu dziejów obowiązuje powszechność polską, ruch bowiem ku odrodzeniu narodowemu, nadany przez obóz „Przeglądu Wszechpolskiego“ jest dorobkiem historycznym całego narodu. Ludzie naiwnie rozpolitykowani niezdolni są zrozumieć zjawiska współczesnego w oderwaniu od partji, z niem związanej, skłonni są całą sprawę narodową oddać na własność stronnictwu, które się nią zajęło. Tymczasem mamy tutaj do czynienia z prądem umysłowym, który potrochu udzielił się całemu społeczeństwu. Nawet przeciwnicy, których staroświecki sposób traktowania spraw publicznych karykaturalnie na tle tej przemiany wygląda, musieli dostosować do niej swoje zachowanie.

Dzieło Romana Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa“ jest jako styl literacki, jako metoda myślenia i uczucia, wreszcie jako treść historyczna—pomnikiem tej epoki, najświetniejszem dziełem polskiego piśmiennictwa politycznego. A jeżeli się przyjrzymy temu dziełu metodą literacką tak, żeby z niego odtworzyć postać autora, to zastanowi nas nietylko jego intelekt polityczny, lecz wogóle jednolitość budowy człowieka. Historyk, nie zadawalając się ogólnem stwierdzeniem wielkości tej jednostki niepospolitej, musi podkreślić cechę zasadniczą tej epoki, że tworzyła ludzi pełnych, harmonijnie łączących w sobie ambicje intelektualne z moralnemi. Ich nauka wychowawcza, według której usiłowali kształtować społeczeństwo, miała na celu tę pełnię i tę harmonję. Szkoła ta czyniła z pokolenia, obarczonego dziedzictwem upadku umysłowego trzech ostatnich stuleci, społeczność realnie myślącą, z całem poczuciem odpowiedzialności traktującą sprawy publiczne. Jeżeli zestawimy dzieło pisarskie i dzieło życia Dmowskiego z analogiczną pozycją, dajmy na to, Maurycego Mochnackiego (rewolucja 1830 i dzieło o niej), to będziemy musieli stwierdzić, że radykalnie i na korzyść zmienił się ideał czynu politycznego i jego twórcy. Obecnie apologja czynów nieodpowiedzialnych i pisarzy niepewnych etycznie jest zadaniem tylko tajnych organizacyj, mających na celu deprawowanie myśli narodowej. Przedtem jednak cały ogół oświecony patrzał na twórczość polityczną, jak na literaturę, w której wszystko wolno, bo na nią niema kryterjum, bo ziemia polska tak jest cierpliwa, jak papier.

„Główna różnica — pisze Dmowski w dziele wyżej wzmiankowanem — między Polską roku 1914 a Polską roku 1830 lub 1863 leży w tem, że w chwili wybuchu wojny europejskiej naród polski był słabo coprawda, ale był politycznie zorganizowany i że ci, co pracowali nad jego organizacją, co nią kierowali, nie byli zależni od żadnych obcych wpływów. To im pozwoliło być wyrazicielami instynktu samozachowawczego narodu, to pozwoliło temu instynktowi wypowiedzieć się w odpowiedniej myśli politycznej i w zorganizowanem działaniu. Próby samobójcze były, jak i dawniej, tylko społeczeństwo nie dało już sobie samobójstwa narzucić“ (171).

W tych słowach zawarta jest miara zasługi pokolenia, które tej pracy organizacyjnej dokonało. Na czemże ta sztuka organizacyjna polegała? Na poddaniu myśli moralnemu stosunkowi do narodu, na związaniu jej z poczuciem odpowiedzialności za los narodu i z poszanowaniem jego instynktu samozachowawczego. Taki związek z moralnością daje rezultaty stokroć pewniejsze, niż łączenie odruchowe czynu z uczuciowym czysto patrjotyzmem, który potrafi wieść do samobójstwa i dlatego bywał u nas pielęgnowany. Ten głęboki pierwiastek etyczny w polityce zapewnia niezawisłość myśli politykowi i narodowi niezawisłość życia. On jest prawem zasadniczem polityki, jak ciążenie do środka ziemi prawem fizycznem, on jest tajemnicą odrodzenia narodu.

Z. WASILEWSKI

UBOGIE POCZĄTKI

MOŻNA rozmaicie określać datę powstania „ruchu wszechpolskiego“, czy też „demokratyczno-narodowego“. Można związać tę datę z powstaniem jakiejś organizacji, czy też z jakiemś sformułowaniem programu. Jeżeli jednak ruch ten traktować jako prąd ideowy, który miał w ciągu ostatnich lat 30 wywrzeć taki potężny wpływ na całe nasze życie, to bodaj najwłaściwszem byłoby daty jego powstania szukać w historji „Głosu“.

Pod takim tytułem powstał w Warszawie w IV kwartale r. 1886 tygodnik, który niebawem został opuszczony przez swego wydawcę. Wówczas grono młodszych współpracowników pisma, jakkolwiek całkiem materjalnie niezasobnych, postanowiło tę placówkę mimo wszystko utrzymać. I oto na czoło swoje wysunęli Jana Ludwika Popławskiego, wybierając go na redaktora, który zresztą był tylko „primus inter pares“, bo redakcją zajmowało się całe to grono, jako komitet.

O wiele trudniejszą rzeczą było wynalezienie redaktora odpowiedzialnego, t. j. człowieka, któryby ideowo należał do grona, nie miał jednak przed władzami rosyjskiemi „zaszarganego imienia“. Nie mógł być redaktorem odpowiedzialnym ani Jan Ludwik Popławski, który miał za sobą kilka lat pobytu na wygnaniu w gubernji wiackiej, ani Mieczysław Brzeziński, który był kilka miesięcy w więzieniu, ani blizcy podówczas redakcji: Aleksander Więckowski lub Zygmunt Heryng, który niedawno właśnie wrócił do Warszawy z przymusowego pobytu na Syberji.

Odpowiedniego człowieka znaleziono w szwagrze Popławskiego, Józefie Karolu Potockim, który dużo pisywał w „Głosie“ artykułów najrozmaitszej treści, od roz-

ważań filozoficznych do poezyj i fejletonów (pod pseudonimem Marjana Bohusza).

W „Głosie“ właśnie Popławski rzucił hasło, że potrzebna jest nam „wielka idea“, co ludzie umiejący czytać między ocenzurowanemi przez władze rosyjskie wierszami, zrozumieli odrazu, jako wskazanie, że niepodległość postawić winniśmy jako cel naszych dążeń. I to hasło, z zachwytem pochwycone przez ówczesną młodzież, było zaznaczeniem początku nowego po pozytywnego okresu naszych dziejów.

Ubogą była redakcja. Pismo wychodzić mogło jedynie dzięki darmowej lub napółdarmowej pracy redaktorów. Ubożuchny był też lokal redakcji. Gnieździł się on przy ulicy Wareckiej pod № 9, w drugiem podwórzu na piętrze oficyny, której parter zajmowały różne niemieszkalne ubikacje. Lokal składał się z dwuch pokoików, z których jeden był mieszkaniem J. K. Potockiego, drugi stanowił redakcję i administrację pisma, oraz z przedpokoju, którym „pełnił obowiązki“ ekspedycji.

Ubogie było mieszkanie, ale gorące i szlachetne biły w niem serca i płomienne pracowały umysły. To też z przejęciem wielkiem wkraczali doń młodzi artyści pióra, z których niejeden dziś ma imię głośne na całą Polskę. Pamiętam wybornie pierwsze ukazanie się w tym lokalu Zygmunta Wasilewskiego. Należałem już wówczas od paru miesięcy do grona redakcji i mnie jakoś wypadło drzwi mu otworzyć. Był cały zmieniony i spłoniony...

Ubożuchne były początki ruchu wszechpolskiego, z dumą jednak wspomnieć je mogą ci wszyscy, którzy w nich brali udział.

JÓZEF HŁASKO

CHIMERA POKOJU

ŚWIAT cywilizowany żyje zawsze pewną ideą przewodnią, wyznaje pewne hasła, w których wyraża się najpełniej „duch czasu“ i charakter pokolenia.

Idea rządząca stuleciami bywa religijna i moralna, jak w średniowieczu, intelektualna i etyczna (system obowiązków względem państwa i dynastji) w w. XVI, XVII i XVIII, wreszcie sentymentalna, jak idea wolności człowieka, panująca w dobie liberalizmu. Około tych sztandarowych ideałów, wnikających głęboko w całość życia ludzkiego, skupiają się uczucia i myśli, trudy walk i pokoju narodów europejskich.

Wszystkie idee kulturalne miały okresy rozmachu i rozkwitu, który im zapewniał długotrwałość i wszystkie nosiły zaród wypaczenia i upadku. Ludzie i narody, chcące czynnie pracować w historji, muszą sobie zdawać sprawę z typu współczesnej im epoki. Dziś zwłaszcza, wobec chaosu pojęć i anarchji myślowej, obowiązek ten nabiera aktualności.

Na front oficjalnej polityki państw i szerokiego forum Ligi Narodów wysuwa się ideał pokoju. Wszyscy o tem mówią, wszyscy powinni się tem kierować, zagadnienia największej wagi ma się podporządkowywać pokojowi. W Genewie głoszą, że polityka jest najtrudniejszą nauką, gdyż uczy zdobywać i zapewniać pokój. Hasła pacyfistyczne opanowują zwolna warstwy inteligentne i przenikają do szerokich mas.

Cóż się stało? czy kwestja pokoju istotnie może być choćby zbliżona do wielkich ideałów historycznych?

Byłoby błędem sądzić, iż dążenie do pokoju za wszelką cenę jest tylko skutkiem przemęczenia wojną i występuje prawem reakcji, jako naturalny kontrast. Przyczyna wyniesienia pokoju na piedestał dziejowy leży gdzieindziej.

Pokój, tak samo jak wojna, nie może być celem, ani ideałem. Niema pokoju dla pokoju, ani wojny dla wojny, o ile chodzi o wyższe wartości duchowe. Pokój i wojna — pomimo ich głębokiego zresztą sensu filozoficznego — są tylko środkami, metodami urzeczywistnienia ideałów. Dziś z metody robi się cel, gdyż prawdziwego celu zabrakło. Świat kulturalny przeżywa kryzys, polegający przedewszystkiem na braku idei, którąby owładnęła epoką.

Dlaczego wysunięto pokój? Właśnie dlatego, bo jest on skarlałą resztką niewygasłego jeszcze liberalizmu: zapewnia ludziom najwięcej warunków powszechnej swobody indywidualnej.

Ideał wolności przeżył się, społeczeństwa mają swobód za dużo; wiele niemiłych i niepotrzebnych, stąd i pokój, jako gwarancja najlepszej możności używania swobody, jest nam wcale obojętny. Narzucanie go, niby naczelnej dewizy, jest sztuczne, chodzi tu raczej o jaknajpewniejsze zabezpieczenie finansów pewnych grup i interesów gospodarczych pewnych narodów. Wyzyskuje się istniejącą w społeczeństwach europejskich niechęć do świeżej wojny. Co innego jednak jest niechęć do nowej wojny, gdy po niedawnej jeszcze rany nie obeschły, a co innego przesadne idealizowanie pokoju. Narody wolą unikać krwawych zatargów, ale nie znaczy to, by równocześnie uznawały pokój za szczyt dążeń. Stać je jeszcze na stworzenie idei bardziej podniosłej i głębiej sięgającej. I dziś wyłania się w naszych oczach nowoczesny ideał narodowy, który, gdy rozszerzy się w wielki prąd kulturalny, budujący postęp ludzkości na zasadzie rozwoju narodów, — zapanuje nad umysłowością całych pokoleń.

Liga Genewska nawołuje ciągle do pacyfikacji świata; ministrowie — delegaci deklamują, zresztą często obłudnie, hymny pokojowe, a mimo to czuje się przy lada kwestji zapowiedź wojny. O wytworzeniu takiej sytuacji, w której groza wojny byłaby wykluczona — przynajmniej dziś jeszcze — mowy być nie może. Niewątpliwie jednak normalizację i stabilizację stosunków światowych da się osiągnąć nie przez pustą gadaninę, zalecającą pokój (przyczem, jakże często, przemyca się poprostu gwałt), ale przez rzucenie nowych haseł, któreby zaobsorbowały energję narodów dzielną pracę kulturalną.

Pokój, jako warunek rozwoju twórczości jest potrzebny, ale gdy go się podnosi do rzędu ideałów, może być szkodliwy i demoralizujący. Istotą życia jest ruch; pokój to wyraz zastoju i lenistwa; staje się symbolem gnuśnego kwietyzmu; jest apoteozą oportunistycznej rezygnacji z najwyższych obowiązków człowieka — wszystko dla „świętego spokoju“. Tak jakby ludzkość była szczęśliwie stworzona do pogodnego używania darów bożych w pokoju.

Naprzeciw tej małomieszczańskiej, filisterskiej ideologji pacyfizmu dzisiejszej Europy oficjalnej, jakże wzniośle rysuje się stara, żyjąca w nas, nauka o ziemi — „kościele wojującym“, gdzie „bojowaniem jest żywot człowieczy“. Nie po różach idą ludzie i narody. Zadaniem człowieka jest przezwyciężać, żywiołem jego — praca i walka o wielkie idee. Uchylanie się od tej roli na świecie, od przeznaczenia, jest daremne.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

O PIERWIASTEK RODZIMY W MUZYCE POLSKIEJ

SKALA pojęcia „rodzimości" jest dość rozległa, wchodzą tu bowiem w grę czynniki, mające bezpośredni związek z rasą, z cechami plemiennemi, z fizjografją, z historją polityczną i historją kultury danego narodu. Na wrażenia — jakiegokolwiek rodzaju — o cechach rodzimych, reagować może tylko człowiek, mający przez krew lub wychowanie związek z jednym lub wszystkiemi elementami rodzimości, indywiduum, posiadające w swoim organizmie — nieznany zresztą anatomji — gruczoł patrjotyczny. Czasami, mimo czystości rasy, mimo szeregu pokoleń wybitnie patrjotycznie nastrojonych, rodzi się człowiek, któremu natura poskąpiła takiego gruczołu; niekiedy ku kosmopolityzmowi grawitujące wychowanie zabija w człowieku ten gruczoł. Patrjotyzm, prawdziwy, nie jarmarczny, jest szóstym zmysłem normalnego członka każdego społeczeństwa, objętego ramami narodowemi. Kto jest pozbawiony tego zmysłu, ten nie zna istotnego poczucia przynależności do narodu, tego stosunek do jakiejś społeczności narodowej jest niemal czysto mechaniczny. Byłoby rzeczą bezsensowną starać się wykazać zbyteczność zmysłu patrjotycznego z punktu widzenia interesu ogólno-ludzkiego. Natura zróżniczkowała ludzkość w tak jaskrawy sposób, jakgdyby chciała zademonstrować marzycielom o wszechludzkim ideale niemożność istnienia jakiegokolwiek interesu materjalnego czy moralnego, analogicznego dla wszelakich części ludzkości pod jakąkolwiek szerokością i długością geograficzną globu. Musimy na sprawy ludzkie umieć patrzeć jasno i praktycznie, z perspektywy rzeczywistości, nie z astronomicznej odległości.

U wszystkich narodów, od najprymitywniejszych do najbardziej kulturalnych, jest muzyka czemś w rodzaju drugiego języka potocznego, zbiorem pewnych utartych, ogólnie przyjętych formułek rytmicznych i melodyjnych, o różnych odmianach djalektowych. Im liczniejsza jest w danym narodzie warstwa ludowa, tem silniejsze są korzenie tej muzyki, która zdaje się wyrastać jakby z ziemi karmicielki, rozpleniać się, jak kwiaty na łąkach. Z ust do ust ona przechodzi, wiatr ją roznosi — nie papier i druk. Kosmopolityzujące się coraz bardziej miasta wchłaniają tę muzykę samorodną ludu często w podświadomej potrzebie ponownego zażycia nastrojów, przeżytych w dawniejszych pokoleniach, przed osiedleniem się ich w mieście. Potrzebie tej odpowiada także artysta, przetwarzający surowy materjał muzyki ludowej w dziełach wyższej kategorji sztuki. Na pracę jego ma jednak wpływ szereg innych jeszcze czynników o rodzimym charakterze. Tak, jak wesele czy żałość ludu dąży do wyrażenia się w muzyce, tak radość czy ból historyczny inteligenta może a nawet musi znaleźć swój wyraz w sztuce — pomimo wszystko — najbardziej uczuciowej, jaką jest muzyka. Wrażenia bolu czy radości historycznej należą niewątpliwie do najbardziej rodzimych uczuć, stąd też skojarzenie się ich z temi utartemi formułkami radosnej czy żałosnej muzyki ludowej, rodzimej, jest rzeczą najbardziej naturalną. Zależy tylko od miary talentu artysty, czy — opierając dzieło swoje na takich przesłankach — dokona rzeczy wielkiej wartości, czy nie wartej funta kłaków. Co innego jest potrzeba rodzimych pierwiastków w dziełach sztuki, co innego suggestja ich w ocenie wartości danego dzieła.

Najszczytniejszym przykładem połączenia czynników rodzimych, mianowicie etnicznego i historyczno-kulturalnego w rozlicznych arcydziełach, przesączenia niemi całej niemal twórczości, jest dzieło genjuszu Chopina. Współcześni, począwszy od Maurycego Mochnackiego czy Schumanna, w lot ocenili genjalność tego nadzwyczajnego zjawiska, od strony czysto muzycznej naturalnie i przedewszystkiem. Zachwyt Schumanna na widok warjacyj Chopina op. 2, wyrażony w „romantycznym" stylu jego pierwszego artykułu krytycznego, jest zachwytem fachowca dla majstra formy i techniki muzycznej. Trafnie stwierdził Schumann, że tylko wirtuoz fortepianu mógł napisać takie dzieło i że gdyby nim był Beethoven lub Schubert, to mogliby je napisać. I w istocie fundamentem artystycznym twórczości Chopina było wirtuozostwo jego rąk na klawiaturze, cudowne poczucie efektu i kunsztu gry na fortepianie. Na końcu tej pamiętnej krytyki skłaniał Schumann głowę „przed takim genjuszem, przed takiem dążeniem, przed takiem mistrzostwem". To mistrzostwo formy, której Schumann nie poddawał szczegółowej analizie, było dla niego czy dla jakiegokolwiek dobrego muzyka tej epoki (nie potrzeba nawet sięgać po nazwiska Mendelssohna, Wagnera czy Liszta) rzeczą zupełnie oczywistą. I każdy z nich wiedział dobrze, że w tych pod względem formy mistrzowskich, pod względem stopnia techniki wirtuozowskich dziełach, kryje się jeszcze coś — niemuzycznego wprawdzie, — ale coś twórcy równie bliskiego, coś, co musiało być równie trafnie odczute, jak trafnie zrozumiane miało być to, co w nich jest samym tylko dźwiękiem. Wiemy np. że trawiony nostalgją za domem w noc wigilijną r. 1830 w Wiedniu, miał Chopin inspirację użycia tematu kolendy „Lulajże Jezuniu" w jednej ze swoich kompozycji i że hiobowa wieść o upadku powstania, która wyrwała mu z serca bluźniercze oskarżenie Boga (jakie później wypowiedział Mickiewicz w Improwizacji Konrada) podyktowała Chopinowi tych jedenaście zgrzytliwych akordów na końcu Scherza H-moll. Chopin był wprawdzie najczystszej krwi muzykiem absolutnym, ale z pewnością nie miał pretensji do Schumanna za to, że porównał go do ukrytych w kwiatach armat, bo porównanie to znakomicie interpretowało intencje Chopina w dziedzinie emocjonalnej treści jego koncepcyj.

Gdybyśmy przy omawianiu dzieł Chopina pominęli świadomie czy nieświadomie czynniki psychologiczne, znane nam z wynurzeń Chopina, to pozbawilibyśmy się niezmiernie ważnego środka do dokładnego poznania zarówno procesu jego twórczości, jak niektórych odrębnych cech jego form muzycznych. Chopin był poetą muzycznym, wielkim lirykiem i epikiem dźwiękowym, nietylko samym konstruktorem. Poetyczność jego inspiracyj nie przeszkadzała mu w osiąganiu najwyższej doskonałości formy. Sama konstrukcja dla siebie nie wystarczała mu. Nie napisał wszak ani jednego utworu o technice imitacyjnej, ani jednej fugi, chociaż tak wielbił Bacha. Nie zdziwiłem się więc zbytnio, ani nie przeraziłem, kiedy mi przed kilkoma laty pewien znakomity kompozytor o europejskiej sławie, o potężnej technice kontrapunktycznej, oddawał całego Chopina za fugę z Hammerklaviersonate Beethovena. Innym zostawił Chopin laury za pisanie chaconne's czy fug, Brahmsowi czy Regerowi, sam zaś wolał zostać przy swoim sarmackim stylu, zachować sarmacką fizjognomję, którą Schumann tak radził mu w sobie zatrzeć, zapewniając, że im bardziej będzie się oddalał

od tej sarmackości, tem bardziej będzie się podnosiło znaczenie jego dla „ogólności sztuki“.

Ale Chopin nie wyrzekł się swojej polskości na żądanie Schumanna, nie zerwał z rodzimą tematyką ludową, z formami narodowych tańców, nie zamknął się w hermetycznym dzwonie przed cierpieniem i radością patrjotyczną. Do panteonu największych genjuszów muzycznych świata wszedł jako chorąży narodowego znaku polskiego.

Wszyscy z wybitnych komentatorów Chopina widzieli w nim cudowną syntezę mistrzostwa roboty muzycznej z duchem polskości. Na tej podstawie oparło się pierwsze poetyzujące studjum o Chopinie: Liszta, w książce Hunekera jest pogląd ten dominantą, w nim ma punkt wyjścia dawniejsza praca Leichtentritta. Rzecz jasna, że nie brakowało od dawna prac analitycznych nad problematami harmonicznemi Chopina i w rozlicznych podręcznikach teoretycznych problemom tym poświęcano nie mało miejsca. Jeżeli w niektórych pracach przeważa literackość egzegezy twórczości Chopina, to nie wynika ona koniecznie z niezrozumienia istotnej strony muzycznej. Uciekają się do niej nawet w zupełnie fachowych pracach muzykologowie. Byłoby jednak błędem twierdzić, że literatura chopinowska nie posiada dotychczas pracy ściśle i wyłącznie rzeczowej, z zupełnem pominięciem literackości. Hugo Leichtentritt wydał w r. 1921 i 1922 dwa tomy, poświęcone „duchowi rzemiosła“ Chopina (Handwerk). Wychodząc od rzemiosła (*mètier*), pragnie praca Leichientritta wyjaśnić subtelną i uduchownioną technikę kompozycyj Chopina... i osiąga to w przeważnej mierze— za pomocą analizy harmonicznej wszystkich utworów Chopina, na podstawie plastycznego przedstawienia ich konstrukcji i t. p.

Wpływ Chopina na późniejsze generacje muzyków w Europie i w Polsce poszedł dwiema drogami. W kierunku nacjonalizacji muzyki artystycznej — przedewszystkiem narodów słowiańskich—był on znacznie silniejszy, niż pod względem zasilenia umysłów twórczych zdobyczami jego techniki. Instynkt samozachowawczy kompozytorów europejskich kazał im unikać Chopina, jak czarodziejskiego ogrodu Klingsora; kto chciał kontynuować Chopina, ten właściwie przekreślał siebie i popadał w niewolnicze naśladownictwo, jak n. p. nasz Kania, Wolff i im podobni. W istocie więc czas na zbiór z posiewu sztuki Chopina nadszedł dopiero w końcu XIX wieku, kiedy przeszedł już paroksyzm wagnerowski. Dzisiaj uczenie się na Chopinie nie tylko nie grozi zabiciem indywidualności kompozytora, ale przeciwnie zapładnia ją, dzięki oddaleniu się stopnia pokrewieństwa kompozytorów naszej epoki od Chopina. Bezpłodnemi natomiast są narzekania i skargi na po-chopinowskie czasy muzyki polskiej, która wydała tylko Moniuszkę, a nie zaraz drugiego Chopina. Dzieje muzyki są tak kapryśne, jak kapryśna jest natura w obdzielaniu ludzi genjuszem i talentem. Czyż wolno nam zapominać, że po Bachu był w Niemczech Wagenseik, po Beethovenie nietylko Weber i Schubert ale i Lortring, a po Wagnerze Nessler? Do kogo moża mieć o to pretensje?! A przecież nie da się zaprzeczyć, że kultura muzyczna w Niemczech jest oparta na solidnych podstawach i wykazuje niesłychaną ciągłość ze zdolnością do ewolucji!

Co należy nam robić, ażeby być godnymi spadku po Chopinie? „Jeżeli chcecie być dobrymi moimi uczniami, to róbcie coś wręcz przeciwnego odemnie“, powiedział raz Wagner. I miał słuszność. Sens historji muzyki nakazywał Niemcom zaprzestać na pewien czas pisania dramatów muzycznych. Na szczęście Chopin, liryk i malarz muzyczny, nie zamyka nam sobą żadnej z dróg, wiodących ku przyszłości muzyki polskiej. Gwiazda jego zaprowadziła do źródeł rodzimych ludowej muzyki wielu nowoczesnych kompozytorów. Czyż np. hiszpańscy kompozytorowie: Albeniz, Granadis, de Falla nie są uczniami Chopina? Jakakolwiek nastanie moda w poglądach na sztukę Chopina, czy się ją będzie pojmowało romantycznie czy formistycznie, impresjonistycznie czy...icznie, pozostanie niewzruszoną prawdą, że Chopin ogromną część swojego sukcesu światowego zawdzięczał i zawdzięcza polskim, ludowym i narodowym czynnikom. Źródło to nie wysycha nigdy, obdzieli wszystkich spragnionych pić z tej krynicy. Dzisiejszy godny następstwa Chopina kompozytor polski, nie jest już płaczką nad krzyżowanym narodem, lecz danem mu jest śpiewać: Hosanna! Ale niech śpiewa je tak, żeby doskonałość formy pokrywała się doskonale z cechami rodzimemi, tak wyraźnie, tak po ludzku i po bosku zarazem, jak u Chopina.

ZDZISŁAW JACHIMECKI

Z cyklu: LEWĄ RĘKĄ

SCHADZKA

ZAMIAST pięknej, dwum panom i mnie wiernej pani,
Cisza do mnie na schadzkę przybyła wieczorem.
Nie zapukała, wiedząc, że ludzie znękani
Często dla obcych wrota trzymają otworem.

Powstałem, wznosząc ku niej ręce, które drżały,
Choć nie w zastępstwie serca, jak się czasem zdarza,
I rzekłem: Pani, szczęście i zaszczyt nie mały...
Jak cię przyjąć?... Mam w domu wszystko, prócz ołtarza...

Pani, więc jesteś... jesteś na świecie i u mnie!...
Najpierwszą wieść o tobie zawdzięczam legendzie,
Bo w życiu próżnom szukał bez tchu, bezrozumnie
W rozpaczy i w rozkoszy i, prócz śmierci,—wszędzie.

Byłem dzieckiem. Wiatr złote rozwiewał kędziory,
Mnie i szczęściu i słońcu i radości społem...
Przeżyłem tych rówieśnych... Dzisiaj wspomnień zmory
Pilnie baczą, bym zawsze nosił kir pod czołem.

Z tobą wspomnień i kiru do cna się wyzbędę,
Wyłonię się z rozpaczy, jak z nocy świt blady.
Z tobą gwiazdy zarannej przeżyję legendę,
Z tobą przemarzę wszystkie miłosne ballady.

Pójdź cicha, pójdź w ramiona złaknione i drżące!
Serce ścichło,—tem lepiej cudze tętno słyszę...
Pójdź, oczu niezgłębioność aż do dna zamącę...
— — — — — — — — — — — — — —
Gdybym się nie był ocknął, byłbym zgwałcił ciszę.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

GORZKIE ŻALE

I

KU SERCA OBRONIE

— ponad ułudą dni,
ponad nocy bezsennością,
przelatuje duchów gromada,
napominająca miłością —
— z mroczy ciemnych,
ku serca obronie
wyrastają, jak chabry
modre, modlące się dłonie —
— dłużą się żywe palce,
ścięgna bolą sprężeniem —
— a dłonie, do krzyża przybite,
krwią zraszają ziemię, zasłaną cieniem —

II

I NIE ODEZWAŁ SIĘ NIKT

— stary i nowy świat ginie,
zatracony w doraźności pustej —
— znak widomy zagłady: nie kwapi się ku nam
jan złotousty —
— a szedł—a szedł—uwierzcie —
ku wsi każdej, ku każdemu miastu —
czekał i szukał i wołał
onych dwunastu —
— — i nie odezwał się nikt!
— już się ma pod koniec wielkiego roku...
...o północy na polskich rozstajach
krwawi żywa rana chrystusowego boku —

III

GĘSTY LAS WAŚNI

— przerostem mizernych chęci
zginą narody —!— nanowo
wskrzesi serca od dna, od chudoby —
zmartwychpowstałe słowo — —
— zbliża się czas,
każdą chwilą się przybliża —
w tym skośnym zachodzie słońca —
wydłużonym cieniem krzyża —
— kto dojrzy — zbawion —!—
lecz któż dojrzeć zdoła
przez ten gęsty las waśni
wyrosły dookoła —?—

IV

GROBY TAŃCZĄ

— groby tańczą —;— pobielane groby
idą żyłami ulic pośród banków,
koszar, kościołów — idą
o południu, o zmierzchu, o ranku —
— a nocą, gdy umierają gwiazdy niezakwitłe
i upadają, jak czarne łzy w bezdenne morza—
ziemia przeklina siebie, zamiera w rozpaczy i męce,
a echem przekleństw dzwonią nachylone ku sobie
[przestworza —
— — raną przeraźliwą jest ziemia,
a serce człowiecze, zanurzone w ranie,
czerwone jest, jak krew zakrzepła — —
— — i tą czerwienią jeno wierzy w zmartwych-
wstanie —

V

W OBŁĘDNYM WIRZE KŁAMSTWA

— cóż więc dziwnego, że w takiej bezsile,
w obłędnym wirze kłamstw i bezmiłości,
gubi swą drogę i spragnione szuka
bezpowrotnej nicości —
— marzy o nocy, z której świt nie zbudzi
i dzień straszyć widzeniami nie będzie —
i nie będzie słońce oświecać męki,
rozchichotanej w upiornym obłędzie —
— bo i nacóż ta śmierć wielokrotna,
nędza myśli, beznadzieja wiary —
gdy nicość ofiar żąda
a nicością stają się ofiary —

VI

W KSZTAŁT LIŚCI LIPOWYCH

— zapomnieć —!— jedyne słowo,
które zakwita na ustach,
jak malwa przed chorym domem,
malwa bezpłodna i pusta —
— bezpowrotne dnie słońcem nagrzane,
jak winne w południe jagody, —
dnie, w które sam Bóg szedł w odwieczerz,
nieśmiertelny i młody —
i siadał z tobą pod lipą
i mówił podparłszy głowę...
a słowa rosły i drżały,
jak wykrojone w kształt serca liście lipowe

VII

Z GAŁĘZIĄ OLIWNĄ

— Boże — Boże — czemuś mnie opuścił —
w tej chwili zachmurzonej — —
gubi się serce samotne
bez twej obrony —
— jarzą się ręce stygmatami ran,
parzą stopy przegwożdżone —
bok przebity krwawi —
jak stos płonę —!!—
— serce — ! — z ogniowego zamętu,
z śmierci popielnej
wzleć gołębiem z gałęzią oliwną — —
Boże wielki — Boże święty — Boże nieśmiertelny —

EMIL ZEGADŁOWICZ

Gorzeń-górny, luty 1925.

GRABINKA

BAJKA

III

KLAWIKORD było słychać już na ulicy. W ciszy zaułka staromiejskiego, z otwartych okien, obrosłych dzikiem winem, płynęła melodja spolszczonej berżerety:

Mój Filonie nie mów tyle,
Gdy zastawiać sidła chcesz.
Głos twój wprawdzie dźwięczy mile,
Ale ptaszki płoszy też.

Kochaj mnie, nie mówiąc o têm.
Pocóż próżne słowa te?
Schowaj lepiej je na potêm,
Bo ptaszęta płoszą się.

Kiedy Jacek na palcach, żeby nie przeszkadzać, wszedł do przyćmionego nastrojowo saloniku, przy klawikordzie, w głębi, w blasku świec z „umbrelkami", śpiewała pani domu.

Czemu zowiesz mnie okrutną?
O mej cnocie dobrze sądź.
Mniémasz mnie bydź bałamutną?
Nie masz racji. Cicho bądź.

Grozisz, że się na jaworze
Umówionym wieszać chcesz?
Nie czyń tego, broń cię Boże,
Bo to ptaszki spłoszy też.

Ubrana, jak zawsze czarno, w tualecie z rękawami, długiej, zapiętej pod samą szyję; uczesana poprostu, w grube warkocze, zwinięte na skroniach, jak baranie rogi, (aczkolwiek litwinka włosy miała krucze, oczy zaś koloru hiszpańskiej tabaki) nie przypominała, jako żywo, niczem, wystawionego przed laty w Zachęcie portretu, na którym Malczewski wyobraził ją w postaci satyrzycy pośród indyczek. Kostka z galanterją przewracał Sylwji nuty. Długi jego cień właził aż na sufit. Bliżej drzwi, w kącie, na empirowym szezlongu, robiącym wrażenie, podobnie jak klawikord, rekwizytu do „Warszawianki", siedziała... Grabinka we własnej osobie.

Jakgdyby nic przykrego pomiędzy nimi nie zaszło wyciągnęła do młodzieńca rękę. Fryzura obcięta świeżo á la Garçonne, cielista suknia do kolan, takież pończochy, osobliwie zaś poza, żywcem skopjowana z „*femmes du monde*" na obrazkach „Vie Parisienne", kontrastując jaskrawo z bronzami i mahoniami z początków Królestwa Kongresowego, odmieniały boginkę doniepoznania. Pomimo to Jacek poznał ją odrazu. Coprawda widział ją już w przebraniu na mieście. Zaskoczony, zdumiony, oszołomiony, szczęśliwy, ujął jej dłoń, nie wierząc własnym oczom.

Szepnęła:

— Przepraszam!

Uderzyła się w piersi. Z minką pociesznie skruszoną, podniósłszy dwa palce, dodała:

— Już tego nigdy więcej nie zrobię!

Kostka, zajęty nutami, nie spostrzegł tej sceny, Sylwia, w odpowiedzi na ukłon Wolskiego, uśmiechnęła się i kiwnęła główką. Podczas gdy przysiadłszy się do dryady, wszczął z nią gawędę wielomownym wzrokiem, — pani Orzeszko-Leszczyńska śpiewała dalej:

Puszczaj rękę mą Filonie!
Tracisz rozum. Wierzaj mi.
Pocałunku żądasz? Bronię!
Za nic! Ani mi się śni!

Mówisz, że mam serce z głazu?
Skończmy, proszę, sprzeczki te
Weźże prędko dwa odrazu,
Bo ptaszęta płoszą się.

Piosenka umilkła. Jacek przywitał się z gospodynią i z przyjacielem. Podziękował im za niespodziankę. Aktorka wstała od instrumentu.

— Jakto? Już nam pani nic nie zaśpiewa?

— Zaschło mi w gardle. Cobyście powiedzieli, gdybyśmy się tak napili czegoś zimnego?

Projekt przyjęto entuzjastycznie. Zapalono elektryczność. Zgaszono świece. „Staś" i Wolski podjęli się przyrządzić kruszon. W tym celu przeszli do pokoju stołowego. Bokobrodaty, zgrzybiały służący przyszykował im wszystko, co potrzeba. Służący ów na imię miał Damazy. W rogatych fatermerderach, czarnym halstuchu, piernikowym surducie i spodniach ze strzemiączkami harmonizował pysznie z czeczotkami jadalni, ustylizowanej, jak on po fredrowsku. Z lewej nogawicy wystawało mu szczudło; w śpiczastem uchu tkwił srebrny kolczyk. Młodzieniec, chociaż widywał famulusa niejednokrotnie, teraz dopiero zwrócił uwagę na wydatne guzy powyżej jego czoła.

— Czy to aby nie resztki spiłowanych rogów? — spytał, gdy kulawiec pokusztykał do kuchni.

— Ależ oczywiście — odparł mistrz Jackowy, wrzucając truskawki do szklanego dzbana. — Damazy zwał się niegdyś ΘΑΥΜΑΣΟΣ. W wiekach zamierzchłych uczył tańca Gracjé. Później był baletnikiem w Rozmaitościach. To właśnie on w wodewilu „Faust i Małgorzata" w wieczór wybuchu powstania listopadowego pojawił się na scenie w olbrzymim cylindrze i popielatym płaszczu, parodjując Chłopickiego. Od kiedy pod Grochowem kula armatnia oberwała mu lewą racicę, dostał nieborak lekkiego bzika. Żyje na chlebie łaskawym u pani Sylwji, choć mógłby być prezesem Towarzystwa Weteranów i honorowym emerytem ZASP'u*). Nasza przyjaciółka radaby kalekę traktować, jak rodzonego dziadka. Dziwak uparł się że będzie jej lokajem. Ani rusz nie można wybić mu tego z głowy.

— Co słychać z kruszonem? — zawołała artystka, gwarząca dotychczas z Grabinką w salonie.

Obiedwie nimfy weszły do jadalni.

— Stęskniłyśmy się. Czemu tak marudzicie?

— Pan Staś mi opowiedział historję Damazego. Cóż to za niezmiernie ciekawy oryginał!

— O tak Damazy to typ kapitalny!.. Żeby go pan widział lat temu sto!... Nie było w Warszawie większego kawalarza i facecjonisty. Żółkowski do niego ani się umywał! Pewnego razu, pamiętam, Wielki Książę Konstanty...

---

*) Związku Artystów Scen Polskich.

Anegdotę przerwał dzwonek w przedpokoju.

— Któż to, tak późno? — ździwiła się Sylwja.

Zegar na kominku, trzymany w dziobie przez orła, którego złocone skrzydła tworzyły literę N, (lewe wzniesione do góry, prawe spuszczone na dół) wskazywał kwandrans po jedenastej.

Po chwili z przedpokoju doleciał dyalog:

— Czy pani w domu?

— W domu.

— Sama?

— Są goście.

— Niech Damazy powie, że mam pilny interes.

Poznawszy głos jednego ze swych wielbicieli, artystka wybiegła na jego spotkanie.

— Dobry wieczór panu, drogi mecenasie. Straciłam już nadzieję. że pana dziś zobaczę.

— Nie mogłem przyjść wcześniej. Przynoszę niezwykłą nowinę. Niechaj pani sobie wyobrazi, że...

Resztę zdania domówiono szeptem.

— Nie może być?! Lula? Wróciła do Warszawy? Kiedyż to się stało? A to dopiero sensacja!

— Dzisiaj. Rząd sowiecki odesłał hofsyrenę wzamian za wydanie bandyty Cwajnosa, skazanego na rozstrzelanie.

— Gdzież ona jest?

— Narazie ulokowano ją prowizorycznie pod mostem Kierbedzia. Jutro skoro świt przewiozą ją do Łazienek. Ale czy przypadkiem nie rozmawiamy za głośno? Wszakże to sekret stanu! Kto u pani jest?

— Same osoby godne zaufania. Niechże pan wejdzie. Dostanie pan kruszonu.

Wprowadziła gentelman'a pod sześćdziesiątkę z miną jaśniepańską, sarmackim sumiastym wąsem i monoklem pod siwą, krzaczastą brwią.

— Mecenas Teodor Wyczha — przedstawiła przybysza pani Grabowskiej.

— Och, my jesteśmy starzy znajomi! Pan Wyczha, jako członek delegacji rewindykującej zabytki łazienkowskie po traktacie ryskim, przywiózł mnie przecież w plombowanym sleeping'u z Leningradu do kraju.

Kostkę z mecenasem łączyła dawna zażyłość. To też nazwisko Wyczhy nie było obce Jackowi. Słyszał o nim od „Stasia“ jako o zagorzałym zbieraczu dzieł sztuki, arbitrze spraw honorowych, myśliwym i właścicielu wyścigowych koni. Pozatem czytał w „Tygodniku Illustrowanym“ przekład mecenasa z „Fetes Galantes“ Verlaine'a. Pan Teodor bowiem, w momentach „straconych“, lubił niekiedy zabawiać się piórem.

Grabinka przyjęła wiadomość o powrocie rywalki bez zadowolenia, raczej z niechęcią. Lecz, gdy sarmata z monoklem opowiedział straszne przeżycia wodnicy u bolszewików, powzięła postanowienie, że się z Lulą pogodzi.

(Czerwoni marynarze, odkrywszy syrenę w sadzawce pewnej splądrowanej carskiej rezydencji, wyłowili ją siecią rybacką i byliby niechybnie rozpłatali ją i usmażyli, gdyby nie interwencja zbawienna czekistów.)

Towarzystwo wyległo na taras od strony Wisły, przecinającej na dwie połowice miasto podobne roziskrzonemu mrowisku. W ostrzu falistej klingi, werżniętem w brzeg praski, srebrnem od miesiąca; wysadzanem bezlikiem żarowych topazów i łukowych opali, odbijał się kościół św. Florjana, niby wielkolud, klęczący z ramionami ku niebu. Pomiędzy kratami mostu kierbedziowskiego migotały ruchome światła tramwajów. Wzdłuż wybrzeża pełzła nakrapiana złotem gąsienica kolejki.

— Patrzcie, patrzcie! Lula! — zawołał Wyczha, wskazując łachę piaszczystą pośrodku rzeki.

— Co za nieostrożność! — żachnęła się Sylwja.— Policja rzeczna gotowa ją zaaresztować za kąpiel bez trykotów.

Kostka wydobył z kieszeni szkła teatralne.

— Co to ma znaczyć, panie Stanisławie? Z mojego mieszkania chce pan lornetować gołą syrenę? Fe! Panie Jacku, proszę mu to odebrać!

Młodzieniec polecenie wypełnił skwapliwie. Przez szkła, jak na dłoni, widać było, w księżycu, siedzącą na piachu nagą rusałkę. Filis pożyczyła od młodzieńca chustkę. Widok patronki Warszawy roztkliwił ją do łez.

Nagle zawyła syrena parowa. Przerażona Lula dała szczupaka pod wodę. Nadpłynął statek rzęsiście illuminowany, powracający z wycieczki do Bielan. Na pokładzie orkiestra przygrywała schimmy. Grała tak skocznie, że Jacek nie wytrzymał i puścił się z Grabinką w pląsy na tarasie.

— A teraz pan Staś uraczy nas lekturą „Pokuty Don Juana“ — rzekła artystka, kiedy już wszyscy wrócili do salonu.

Autor bez ceregieli dał się uprosić. Filis, przewidując torturę nudy, sięgnęła z rezygnacją po tartinkę. Lecz już pierwsze wiersze tak ją zajęły, że nie doniósłszy bułeczki z łososiem do ust, zatrzymała ją w połowie drogi.

W aureoli lampy „Staś“ z obliczem natchnionem nie patrząc w rękopis, wygłaszał tyradę:

Ongi jurny jak lew,
Porubstwa miłując grzech,
W przeciągu miesięcy trzech,
Zgwałciłem sto dziewięć dziew.
Tarzając się w rozpuście,
Zwodziłem kobiety, jak z nut,
Skalanych przezemnie cnót,
Policzyć się nie kuście!
Dzisiaj, przeciwnie wprost,
Czynię pokutę i post:
Odwracam od żon cudzych lica;
Świętością mi każda dziewica...
Jałmużny rozdając hojnie,
Nad grzeszną przeszłością płaczę.
Mości panowie rogacze —
Możecie spać spokojnie!...

Grabinka, trzymając ciągle kanapkę z gracją w dwu palcach, przetrwała w tej pozycji całe siedm aktów. Kiedy nareszcie nadkąsiła przysmak, szyby już błękitniały, na dworze budziło się ptactwo.

Odprowadzając pieszo Kostkę do domu, (dryadę odwiózł Wyczha automobilem), Jacek przystanął z nim u stóp kolumny Zygmunta, aby przyjrzeć się wschodowi słońca. Ołowiane trytony, zarumienione brzaskiem, witały niemym hejnałem Srebrnołukiego. Na Zjeździe para strażackich perszeronów, zaprzężona do magistrackiej platformy, ciągnęła stępa pod górę olbrzymich rozmiarów beczkę z godłem taboru municypalnego. Konwojowali ją konni policjanci. Jakaś staruszka-dewotka (co wstała na prymarję półtora godziny przed otwarciem Fary), zaczepiła poetów, pytając ciekawie:

— Co to może być?

STEFAN JÓZEF GODLEWSKI

(Na tem kończy się druga część „Grabinki“)

LIBERUM VETO

Jak wygląda bóstwo naszego czasu?—Kult bezosobowy. Zamiary ratunkowe. — Uchwały synodu socjalistycznego.—Wielka oszczędność, której rząd zrobić nie może.— Czekajmy!

GDYBYŚMY dziś tworzyli sobie postać bóstwa według wyobraźni ludów dzikich, a upodobań naszego czasu, miałoby ono głowę kudłatą z rogami, jak widły, zwieszonemi ku przodowi, brodę śpiczastą z koźlim zarostem, gębą szeroko rozwartą, wielkiemi złotemi zębami uzbrojoną, ręce długie, palce pazurami zakończone, brzuch ogromny, nogi krótkie na kopytach, opatrzonych małemi skrzydełkami. Tak by wyglądał wszechmocny duch „wiosny narodów". Doprawdy, bez grzechu czarnowidztwa i przesady możemy powiedzieć, że ta wiosna jest jedną z najohydniejszych pór historji świata. Bo co w niej jest pięknego, czarującego, wywołującego radość życia? Gdy padł zabity, lub zeszedł z pola bitwy zwycięski żołnierz, walczący za wolność; gdy usunął się z widowni ostatni aktor, grający wspaniałą rolę w tej najkrwawszej tragedji, nie ma już bohaterów, nie ma kogo uwielbiać. Pomniki stawiane dziś na całym obszarze morderczej wojny „nieznanemu żołnierzowi" sa wymownym tego dowodem. Te wielkie szczerym żalem i wdzięcznością nastrojone zaduszki, są jednym z niewielu a może nawet jedynym poważnym i czystym tonem w dzikiej muzyce świata, jedyną wzruszającą pieśnią śród ryku i wrzasku „wiosny narodów".

Zatykamy uszy, pragnęlibyśmy nie słyszeć tygrysich ryków i wężowych syczeń, nadewszystko zaś wycia hyjen, karmiących się ciałami poległych, wygrzebanemi na naszem własnem pobojowisku. Ach, żeby już minęła ciemna, straszna noc, żeby wschodzący dzień spłoszył dzikie zwierzęta i zapalił nad życiem narodu dobroczynne słońce! Świadomie i bezwiednie staramy się, ażeby to nastąpiło jaknajprędzej, albo przynajmniej nastąpiło kiedykolwiek. To usiłowanie składa się z niezliczonych drobnych zabiegów, postępów, czynów, napraw i zapobiegań. Jesteśmy ciągle biedni, źle zagospodarowani, nieuleczalnie chciwi wielkich i prędkich zarobków, zmaterjalizowani do rdzenia dusz naszych, wstrząsani prądami oszukańczej agitacji — w kierunku też tych chorób, niedostatków i niedomagań rozwija się działalność ratownicza.

Minister skarbu obiecuje w roku następnym zatkać w budżecie państwa dziury, przez które przecieka i przesypuje się mienie narodu, wystarczające na wszystkie jego potrzeby, niewystarczające tylko na potrzeby złodziejów, rabusiów, pasorzytów, i marnotrawców. To zatykanie odbywa się zapomocą oszczędności, niedoprowadzonych jeszcze w administracji państwa do tej granicy, do której posunięte być winny. Nie pozwala na to nasz sejm, zużywający 550 razy pomnożoną pensję poselską według trzeciej kategorji i wymuszający na rządzie wydatki, potrzebne rozmaitym celom i interesom ustawodawców, nie pozwalają zastępy nadmiernych urzędników, nie pozwala— według wyrażenia prof. Rybarskiego — „rozpęd" budowania państwa na wielką skalę. Ale coś tam żłobów, obroków i krów dojnych ubędzie. Niewątpliwie ucierpi na tem pewna ilość ludzi, pozbawionych dotychczasowego chleba i zmuszonych szukać innego. Wyraziwszy szczere współczucie tym, którzy na nie rzeczywiście zasługują, pocieszajmy się, że straty jednostek pokryją się korzyścią ogółu. Społeczeństwo nie tylko osiągnie poprawę skarbu publicznego, ale pomnoży ilość pracowników twórczych kosztem zmniejszonej masy bezpłodnych spożywców, poszukiwaczów i zdobywców posad urzędniczych, tej masy, która nas objada, obdziera, zubaża i utrzymuje młyny, hałaśliwie turkoczące a niemielące żadnego ziarna.

Nadzieja rzucałaby na ten obraz najbliższej przyszłości różowe światło, gdyby doświadczona wątpliwość nie szeptała wróżby, że ta barwa w jego widmie nie będzie bardzo mocna. Wiadomo wszem wobec i każdemu zosobna, że główny gospodarz kraju, minister skarbu, jest obciążony służebnościami partyjnemi, że porusza się w kajdanach, że w każdem przedsięwzięciu musi ofiarować Bogu świeczkę a djabłu ożóg. Stwierdzono pod przysięgą rozumu i uczciwości, że dla zrównoważenia budżetu i wydobycia nas z nędzy gospodarczej potrzeba zmniejszyć znacznie wydatki a zwiększyć dochody państwowe oraz zrównać warunki i wydajność pracy z ich normami zagranicznemi, które naszą produkcję pobijają we współzawodnictwie wielką różnicą. Jest to pewnik arytmetyczny, niedopuszczający żadnej wątpliwości. A oto czytajmy, co uchwalił ostatni synod socjalistów polskich, stanowiących rdzeń pacierzowy lewicy sejmowej: „Bezwzględne i całkowite zachowanie wszystkich zdobyczy społecznych klasy robotniczej". (Te „zdobycze" mają poważny udział w niedoborach budżetu, a główny w nadwyżce kosztów produkcji przemysłowej). „Zaniechanie polityki, która odbudowy wytwórczej szuka na fałszywej i szkodliwej drodze oszczędności". (To znaczy zejście z drogi, na której jedynie osiągnąć można ratunek ekonomiczny państwa). „Zmniejszenie wydatków na wojsko" (czyli osłabienie siły obronnej państwa, zagrożonego napadem z dwu stron). „Dostarczenie bezrobotnym przez zimę węgla i kartofli". Krótko mówiąc: powiększenie zewnętrznego niebezpieczeństwa i wewnętrznego bankructwa Polski. Ratujże ją, najmądrzejszy zbawco, przy takich pomocnikach! Zdaje się, że na konikach demagogicznych trudno dalej zajechać w głąb niedorzeczności. A jednakże są to „postulaty, z któremi poważnie trzeba się liczyć"—jak ostrzega jeden z publicystów mańkutowych.

Nie wdając się w szczegółową krytykę preliminarza budżetowego na r. 1926, zapowiadającego „znaczne oszczędności", zatrzymajmy uwagę na paru grubych jego pozycjach. Sejm i senat kosztować będą 9,176,649 zł. Tę olbrzymią sumę płacić ma naród za utrzymanie gromady swych prawodawców, z których zaledwie dziesiąta część coś rozumie, coś robi i coś do rzeczy gada, a reszta wygniata fotele, podnosi ręce, składa kartki lub przechodzi przez drzwi podczas głosowania i odżywia się w bufecie. Ministerjum robót publicznych ma spożyć (po odtrąceniu dochodów) 35 miljonów, ministerjum pracy i opieki społecznej przeszło 30 miljonów, ministerjum reform rolnych około 26 miljonów. Gdyby zmniejszyć „zdobycze społeczne klasy robotniczej" i pozostać na „fałszywej i szkodliwej drodze oszczędności", gdyby te wspaniałe gmachy „rozbudowy państwa" zamienić na skromne przystawki przy innych ministerjach, skarb publiczny pozbyłby się około 90 miljonów wydatków niepotrzebnych, a budżet zbliżyłby się do punktu równowagi. Ale tych „zdobyczy" zainteresowani nigdy wydrzeć sobie nie pozwolą. Niech więc—jak śpiewają w operetce—„Grecja płaci". Nie narzekajmy, bo może rozgniewane „czynniki miarodajne" podniosą swój „mnożnik drożyźniany" o jedną lub dwie kategorje wyżej, może na złość społeczeństwu utworzone zostaną nowe ministerja: bruków ulicznych, samochodów, tramwajów, uczt i przyjęć urzędowych, syfilisu, ospy, a jak dobrze pójdzie — to i łapowników. Bo któż zdoła przewidzieć, jakie żądanie znaleźć się może w programach stronnictw, sprzedających rządowi swe głosy dla „uzdrowienia państwa"! Przygotowani na wszelkie niespodzianki, czekamy na wysoki sejm w sprawie oszczędności. Niektóre pisma obiecują nam od niego sprawiedliwość, dbałość o dobro społeczne, zrozumienie grozy niebezpieczeństwa i inne cnoty patrjotyczne, któremi jest wybrukowane piekło naszego życia.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

PROCESY MASONERJI

W TYGODNIU ubiegłym Sąd Najwyższy rozstrzygał sprawę napozór drobną, kwalifikującą się, gdyby nie charakter jej prasowy, do sądu pokoju. Chodziło o to, czy wyrazy „szantaż“ i „prowokacja“ są obelżywe, czy też w pewnych wypadkach, gdy chodzi o scharakteryzowanie akcji społecznej, tylko określeniem naukowem. Sąd Najwyższy przychylił się do opinji dwu niższych instancyj, że są to bądź co bądź wyrażenia obelżywe.

Proces ten wytoczył w r. 1923 b. premjer Artur Śliwiński, prezes Komitetu czczenia zasług Narutowicza, Z. Wasilewskiemu, redaktorowi ówczesnemu „Gazety Warszawskiej“, z powodu artykułu, który w tej gazecie się ukazał p. t. „Szantaż czy prowokacja“. Artykuł ten ukazał się jednocześnie w innych dziennikach, oskarżony go nie pisał, Śliwiński o tem wiedział. Śliwiński skorzystał z formalnie przysługującego mu prawa i chociaż w artykule o nim mowy nie było, wysunięty przez swoją organizację stawał pod sztandarem walki z obozem nacjonalistycznym. Sprawę miał dobrą, komitet bowiem Narutowiczowski zabezpieczył się z góry, zapraszając do siebie na protektorów Prezydenta Rzpltej, premjera ówczesnego, ministrów. Ministrów powołał do sądu na świadków, mających stwierdzić, że kult Narutowicza był dobrowolny, z serca narodu płynący.

Proces ten — to doskonały obraz roli, jaką w społeczeństwie spełnia masonerja. Zaczęła ona od wielkiego zamysłu: zawładnięcia naczelnym stanowiskiem w państwie przez oddanie go (głosami Żydów i innej mniejszości narodowej) swemu bratu z zagranicy, w Polsce nieznanemu, bezwyznaniowemu, źle mówiącemu po polsku. Robiono to pod hasłem tragicznej dla narodu walki: kto w Polsce rządzi — nacja polska, czy też mniejszości. Katastrofa, która na tem tle wynikła, nie przeraziła organizacji. Postanowiono ideę tej walki prowadzić pod znakiem trumny Narutowicza. Rozłam i waśń w społeczeństwie były celem. Ni stąd ni zowąd w r. 1923 rozległ się apel: Narutowicza do grobów królewskich na Wawelu! Obchody, posągi, broszury, fundacje, składki po całym kraju. Gdy biskup krakowski się sprzeciwił, propagowano sarkofag w katedrze św. Jana w Warszawie... Obóz narodowy zostawał pod presją moralną:

— Musisz złożyć ekspjację! Jeśli się sprzeciwisz, będzie to dowód, że się solidaryzujesz z zabójcą Narutowicza. Za nami stoi głowa państwa i rząd. Sprobujcie dowieść, że to nie jest akcja narodowa!

Wtedy, jak grom z jasnego nieba, spadły w prasie dwa słowa widocznie obraźliwe. Stąd ów proces, który zaczął się od żądania kary za zniesławienie, to znaczy za głoszenie ubliżającej n i e p r a w d y. W toku sprawy żądanie to zredukowano do żądania kary za obelgę, to znaczy za wyrazy (wszystko jedno: prawda czy nieprawda).

I oto z tej wielkiej akcji, dającej masonerji złudzenie, że ma w ręku społeczeństwo i może niem wstrząsać, że ma przed sobą nacjonalistów na klęczkach, z całej tej akcji pozostaje po paru latach satysfakcja procesu o dwa słowa. Ale gdzie podziało się hasło? Gdzie są cugle, przy pomocy których miano powodować narodem? Gdzie ten kult? Gdzie ekspjacja narodu, o której tyle mówił adwokat na sądzie?

Akcje prasowe—gdy doprowadzane są do końca z odwagą i miłością sprawy, bywają pożyteczne. Bez nich legendy Lednickich, Narutowiczów, Piłsudskich wstrząsałyby, jak ataki malaryczne, społeczeństwem. Adwokat p. Śliwińskiego użalał się na ostatnim procesie, że padają wyrazy takie, jak „mafja“. A jednak, gdyby nie wykrycie tego bakcyla, społeczeństwo chorowałoby bez końca na zgniłą gorączkę.

(x)

BUŁGARZY WOBEC POLSKIEJ KULTURY

OD wieków promieniuje kultura polska ku południowym pobratymcom naszym. Myśl i czyn polski zawsze znajdowały na słowiańskiem południu podziw, najwyższe uznanie i naśladownictwo. Gdy w XVII w. polskie zastępy zwycięsko walczyły z potęgą muzułmańską w obronie cywilizacji chrześcijańskiej, uciemiężeni Słowianie południowi zwracali swe nadzieje ku Polsce, spodziewając się od niej zupełnego pogromu Turków. Dość wymienić opiewający Władysława IV poemat Gundulića i pieśni Karawelicza o zwycięstwie wiedeńskiem.

Po raz pierwszy ukazała się polskość na ziemi bułgarskiej w roli obrońcy chrześcijaństwa w latach 1443/44. I mimo klęski warneńskiej *prestige* Polski pozostał ogromny i nadal. Kiedy Władysław IV snuł wielkie plany krucjaty antytureckiej, z całą ufnością zwrócił się bułgarski biskup Parcewicz do Polski z prośbą o poparcie odbudowania państwowości bułgarskiej. A potem, gdy Polska utraciła byt niepodległy, znów, mimo wszystko, spotykamy się z objawami podziwu dla niej i sympatji.

W wieku dziewiętnastym rolę oswobodzicielki Słowiańszczyzny z pod przemocy tureckiej podjęła Rosja. Przeciw tej Rosji, od której czekała Bułgarja oswobodzenia, Polacy w czasie wojny krymskiej tworzyć zaczęli legjon na ziemiach tureckich. Oddziały polskie rozlokowano w Bułgarji, a sprawą tworzenia ich zajął się największy wieszcz Słowiańszczyzny, Adam Mickiewicz. Jakież uczucia wzbudzili wśród ludu bułgarskiego ci pobratymcy, którzy stawali po stronie gnębiącej go Turcji, a szli walczyć z Rosją, od której oczekiwano oswobodzenia? Uczucia te najlepiej okazały się podczas pogrzebu organizatora legij polskich na Wschodzie. Podczas pogrzebu Mickiewicza uczcili go Bułgarzy, przebywający w Carogrodzie, tłumnym udziałem pod wodzą późniejszego ministra państwa bułgarskiego, Dragana Cankowa. Oto, co pisze uczestnik pogrzebu tego, Z. Miłkowski (w „Kraju“, № 46 z r. 1885):

„...odsłonił się oczom naszym widok, o ile niespodziewany, o tyle rzewny... Poza nami, niby rzeka ujęta w łożysko uliczne, płynęły tłumy ludzi, okrytych turbanami czarnemi... Ludzie ci szli w milczeniu, w skupieniu ducha, znamionującem udział w przejmującym nas żalu i smutku. Niespodziankę tę sprawili nam Bułgarzy. Uczcili oni w nieboszczyku genjusz poezji słowiańskiej... zeszli się najliczniej... nie wzywani przyszli, nie dziękowani odeszli, dopełniwszy względem przyświecającego Słowiańszczyźnie genjuszu powinności, jak powinność pełnić należy“.

Manifestacja owa bułgarska, dokonana naturalnie, spokojnie, samoistnie, a poważnie, zasługuje na to, aby ją przypomnieć i zaznaczyć.

Stworzone traktatem berlińskim księstwo bułgarskie znalazło się w dość trudnych warunkach bytu. Nieliczna garstka miejscowej inteligencji nie mogła dać młodemu państwu całego, tak potrzebnego aparatu urzędniczego, nie mogła dać mu potrzebnej ilości lekarzy, adwokatów. Do pomocy wyzwolonym pobratymcom przyszli Polacy, Czesi i Rosjanie. Pierwsi dostarczyli Księstwu wolnych zawodów umysłowych, tamci zajęli wyższe urzędowe stanowiska. Kultura polska szła z pomocą wyzwolonemu z jarzma narodowi, który szczerą odpłacał się wdzięcznością. Dość na tem miejscu wymienić znakomitego naszego publicystę, Jana Grzegorzewskiego, który przebywając wielekroć w Bułgarji, cieszył się największemi względami ze strony rządu i szerokich kół narodu. Daje on

temu świadectwo w książce swojej „Rok przewrotów (Bułgarja 1885/86)“, opisującej ważne w dziejach narodu bułgarskiego fakty, przyłączenie Rumelji Wschodniej i wojnę z Serbami.

Niewątpliwie silne wciąż wpływy rosyjskie tłumiły nieco sympatje dla Polski wśród Bułgarów. Ale zaraz po wojnie światowej sympatje te zaczęły się objawiać na nowo.

Pragnąc zapoznać jak najszersze kręgi narodu bułgarskiego z kulturą polską, zakładają polonofile sofijscy w r. 1918 „Towarzystwo polsko-bułgarskie“, które przy wydatnej współpracy posła polskiego Dr. Grabowskiego rozwinęło odrazu energiczną działalność, wydając czasopismo polskim sprawom poświęcone, perjodyczne wydawnictwo przekładów z literatury polskiej, kursy polskiego języka. Chorwat, dr. I. Esih świadczy („Vijenac“ 1925, IV 3.), że na żadnym ze słowiańskich uniwersytetów nie wykłada się tak obszernie i dokładnie języka i literatury polskiej, jak na sofijskim. Towarzystwo polsko-bułgarskie zorganizowało już w r. 1923 wycieczkę do Polski około sześćdziesięciu profesorów gimnazjalnych, którzy po powrocie stali się entuzjastycznymi krzewicielami myśli polskiej i przyjaciółmi polskiej kultury. Jako najwybitniejszych polonofilów bułgarskich wymienić należy: prof. uniw. Mładenowa, Madżarowa, Penewa, poetkę Dorę Penewę i p. Ganczewę.

Imponujący jest plon pracy wydawniczej „Towarzystwa.“ Organem stałym jest dwutygodnik p. t. „Przegląd polsko-bułgarski“, ponadto perjodyczne wydawnictwo „Polska bibljoteka“. „Przegląd“ przynosi dokładne wiadomości o całokształcie politycznego i kulturalnego życia w Polsce, daje przekłady z naszej literatury, oraz oryginalne teksty dla uczących się po polsku. W „Bibljotece polskiej“ wydano już m. in. „Irydjona“ (jedyny przekład w literaturze europejskiej), „Hymny“ Kasprowicza, oraz ilustrowaną, krytycznie opracowaną antologję polskiej poezji porozbiorowej w przekładzie p. Dory Gabé - Penewej. Jak bardzo poważnie pojmuje „Tow. polsko-bułgarskie“ swoje zadanie, świadczyć może przedmowa wydawnictwa do pierwszego tomu „Bibljoteki polskiej“ („Duch dziejów Polski“ A. Chołoniewskiego):

„Towarzystwo polsko-bułgarskie, postawiwszy sobie cel zapoznawania społeczności bułgarskiej z polską duchową i materjalną kulturą, przystępuje do wydawania oddzielnej „Bibljoteki polskiej“ w formie przystępnych dla ogółu książek. Jedne z nich zawierać będą dokonane z oryginałów przekłady dzieł dawniejszych i współczesnych pisarzy polskich; każdy przekład zaopatrzony będzie literacką charakterystyką danego autora. Inne znów tomy „Polskiej bibljoteki“ dawać będą popularno-naukowe monografje o polskiem życiu społecznem, politycznem, artystycznem i kulturalnem, w przeszłości i teraźniejszości“...

Obok „Tow. polsko-bułgarskiego“ żywo interesuje się sprawami polskiemi także „Słowiańskie Towarzystwo w Bułgarji“. Organ jego, kwartalnik „Głos słowiański“, często zamieszcza artykuły lub notatki o Polsce i życiu polskiem, a kwartalnie wychodząca „Słowiańska bibljoteka“ wydała pracę Dr. St. Dobrzyckiego p. t. „Duch literatury polskiej“ i monografję o życiu i twórczości Sienkiewicza, opracowaną przez p. Złatoustowę.

Warto, aby polska opinja publiczna, tak mało poinformowana o tych sprawach, dowiedziała się jak daleko sięga znajomość i wpływ polskiej kultury w Bułgarji i ze swej strony także więcej życiem bratniego narodu bułgarskiego się zainteresowała.

HENRYK BATOWSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

WERSAL I LOCARNO

TO, co dzieje się obecnie w Locarno, nie jest niczem innem, jak kruszeniem podstaw tego systemu politycznego, jaki ustanowiony został w Europie i w świecie na zasadzie Traktatu Wersalskiego. Planowa, wytrwała i konsekwentna polityka niemiecka bynajmniej już tego celu nie ukrywa. Pocóż zresztą zwoływanoby konferencję ministrów spraw zagranicznych do Locarno, gdyby stan rzeczy i układ sił politycznych z dn. 28 czerwca 1919 r. pozostał do dziś niezmieniony?

Jest rzeczą znamienną, iż ofensywę przeciwko Traktatowi Wersalskiemu rozpoczęły Niemcy od podniesienia kwestji t. zw. „winy wojennej“ t. j. zakwestjonowania stwierdzonej w Traktacie odpowiedzialności Niemiec i ich sprzymierzeńców za wywołanie wojny światowej. Trudno przypuścić, aby moralna odraza do wojny była przyczyną, iż ten właśnie zarzut uznany został za najcięższą zniewagę dla narodu, który jako symbol swych dążeń postawił na czele państwa marszałka Hindenburga. Nie pacyfiści najenergiczniej domagają się oczyszczenia Niemiec z tego zarzutu, ale właśnie nacjonaliści, którzy wojny z zasady nie potępiają, więc na oskarżenie tego rodzaju najmniej powinniby być wrażliwi.

Rzeczywisty cel tej polityki jest też zupełnie inny. Nie chodzi tu bynajmniej o sprawę spokoju sumienia ex-cesarza Wilhelma, czy jego ówczesnych doradców. Kwestja „winy wojennej“ podniesiona została dlatego, iż stwierdzenie jej jest podstawowem założeniem całego Traktatu Wersalskiego, punktem wyjścia i uzasadnieniem najważniejszych jego postanowień. Nie o szczegóły chodzi więc już tu, ale o całość. Wyłom w tej dziedzinie jest podważeniem całej budowy politycznej, przez Traktat Wersalski wzniesionej.

I właśnie w tej sprawie osiągnęli już Niemcy w Locarno sukces bardzo poważny. W projekcie „paktu bezpieczeństwa“, opracowanym przez prawników, państwa sprzymierzone określone zostały jako „dotknięte wojną“ (*„qui ont subit le choc de la guerre“*). Przeciwko temu określeniu zaprotestowali delegaci niemieccy, twierdząc, iż zawiera ono p o ś r e d n i o oskarżenie Niemiec o wywołanie wojny światowej. I oto po kilkudniowych wysiłkach „rzeczoznawców“, aby wymyślić jakąś przyjemniejszą dla Niemiec formułę, zdecydowano się wogóle zdanie to z tekstu projektu wykreślić! A przecież sześć lat zaledwie minęło od chwili, gdy minister spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej p. Hermann Müller podpisywał Traktat Wersalski, a w nim, między innemi, § 231, który brzmi, jak następuje: „Rządy sprzymierzone i stowarzyszone oświadczają, zaś Niemcy przyznają, że Niemcy i ich sprzymierzeńcy, jako sprawcy, są odpowiedzialni za wszystkie szkody i straty, poniesione przez Rządy sprzymierzone i stowarzyszone oraz przez ich obywateli na skutek wojny, która została im narzucona przez napaść ze strony Niemiec i ich sprzymierzeńców“. Wiele, bardzo wiele, jak widać, zmieniło się w ciągu ostatnich sześciu lat. Wypadki szybko bardzo posuwają się naprzód. Cóż za dalsze lat sześć pozostanie z paktów i gwarancyj, podpisywanych dziś przez p. Stresemanna?

Konferencja w Locarno trwa i nie wiadomo jeszcze zupełnie, jak się zakończy. Niewiadomo, czy i co zdołają osiągnąć Niemcy w sprawie § 16. Statutu Ligi Narodów, w sprawie gwarancji zachodnich granic Polski i Czechosłowacji i t. d. Jedno wszakże jest najzupełniej widoczne. Każdy kompromis, każde zbliżenia poglądów między Francją i Niemcami ma z reguły charakter jednostronnego sukcesu niemieckiego. Niemcy bowiem ustępują zawsze

jedynie ze swych... żądań i pragnień, Francja zaś z realnych, istniejących uprawnień. I gdy dzienniki donoszą, że z pogawędki między p. Briandem i p. Stresemannem obaj mężowie stanu odnieśli „doskonałe wrażenie", to zmuszone są, jak „Figaro", dodać objaśnienie, iż powodem zadowolenia p. Brianda jest fakt, że Francja raz jeszcze miała sposobność dać dowód swego szczerze pokojowego usposobienia.

W rywalizacji, kto więcej poświęci dla sprawy ideałów pacyfistycznych, Francja Painlevé'go i Herriot'a zawsze osiągnie przewagę nad Niemcami Hindenburga i Stresemanna. Od zwycięstwa wyborczego „kartelu lewicy", od przełomu z dnia 11 maja roku zeszłego, wciąż odnosi nowe tryumfy nad Niemcami na tem polu.

Jak daleko posunie się na tej drodze?

IGN.

NAUKA I LITERATURA

DZIEJE CHŁOPÓW POLSKICH

ALEKSANDER Świętochowski napisał historję chłopów polskich. Już samo nazwisko autora nakazuje brać książkę do ręki z respektem, a treść i praca w nią włożona czyni, iż odkłada się ją z uczuciem, że przeczytało się dzieło, które jest ozdobą społecznej literatury polskiej wogóle i jednem z najkapitalniejszych dzieł czasów ostatnich.

Mamy szereg przednich monografij, przedewszystkiem Potkańskiego i Bujaka, o polskim włościaninie i polskiej wsi, ale nie mieliśmy dotychczas syntetycznego opracowania historji włościaństwa, bo za takie z tytułów tylko uchodzić mogą, częściowo przestarzałe, częściowo niekompletne, kompilacje i broszury, objąć całość usiłujące.

Książka Świętochowskiego nie jest też historją w ścisłem znaczeniu wyrazu i powinnaby nosić tytuł nie „historja" ale „Dzieje chłopów polskich". Różnica subtelna, niemniej istniejąca. Od historji wymagamy studjów, opartych bezpośrednio o surowy materjał dokumentów i poglądów ze studjów tego rodzaju wyprowadzonych, wymagamy ponadto krytyki i analizy danych dokumentów i źródeł. Taka jednak historja chłopów polskich może być jedynie uwieńczeniem pracy pokoleń i temu uwieńczeniu musi być poświęcone życie jednego człowieka. Biorąc przykład najbliższy—historję rewolucji francuskiej Aularda, widzimy, że nie mogłaby być ona napisana, gdyby poprzednio nie istniał w lwiej części opracowany już i przemyślany materjał.

W dzisiejszym stanie badań nikt historji polskiego włościaństwa dać nie jest w stanie, nie dał więc jej i Świętochowski; dał natomiast jego dzieje. Wczytawszy się we wszystkie druki i poznawszy całą literaturę przedmiotu, Świętochowski opowiedział losy chłopów polskich z surową prawdą, jaka go zawsze cechuje i z wysoką troską, aby mu sumienie w stosunku do żadnej klasy wyrzutu nie mogło uczynić. Tem najpewniej kierowany rzucił dzieje włościaństwa polskiego na szerokie tło porównawcze, wskazujące, jak się chłopom działo we Francji, w Niemczech, we Włoszech, w Rosji, na Węgrzech i zapowiedział tom drugi, gdyż poprzestawszy na pierwszym, popełniłby oczywistą niesprawiedliwość. „Szlachta polska bowiem rzeczywiście skrzywdziła chłopów długim szeregiem gwałtów, których ukryć nie można i nie należy, wszystkie jednak te winy zgładziła później troskliwą opieką i ofiarną służbą dla ludu wiejskiego".

Poza swoją wartością trwałą książka Świętochowskiego ma wartość aktualną. Polska na ludzie stoi, przezeń żyć i odrodzoną być może. Charakter chłopa polskiego trzeba znać, trzeba wiedzieć, skąd płyną jego zalety i skąd pochodzą jego wady. Z przenikliwością i mądrością ogromną Świętochowski wskazał na nędzę, jaka psychologicznie zabija nasz lud wiejski i niepozwala wydobyć spoczywających w nim skarbów. Nędza ta, pisze, umożliwiła zaborcom podbój polskiego państwa, nędza ta, powiedzmy od siebie, nie pozwala nam stanąć, tak jakbyśmy chcieli i powinni, w rzędzie zachodnich państw europejskich.

Dodajmy jeszcze, czego dodawać nie trzeba, że książka Świętochowskiego pod względem stylu i języka napisana jest przepysznie, tak jak już dziś umieją pisać tylko wielcy pisarze starszego pokolenia.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

*) A. Świętochowski: Historja chłopów polskich. Lwów — Poznań 1925.

OSTATNI NUMER „SKAMANDRA"

INTERESUJĄCO przedstawia się ostatni numer wydawanego co czas jakiś „miesięcznika poetyckiego" „Skamander". Najbogatszy, jak zwykle, jest dział poezji i krytyki żydowskiej. Na czoło wysuwa się tu p. Juljan Tuwim, który zwłaszcza w wierszu o „biednym, obłąkanym Żydku", śpiewaku podwórkowym, dał dzieło prawdziwie poetyckie, obraz nędzy duchowej ludu—wiecznego tułacza, od tysięcy lat błąkającego się bez ojczyzny po świecie. Szczera nuta osobistych przeżyć drga w słowach wiersza:

„Kędy nas zaniosło? Gdzieśmy się zgubili
Światu ogromneme obcy i niemili
— — — — — — — — — —
Nie znajdziemy nigdy ciszy i przystani
Żydzi śpiewający, Żydzi obłąkani..."

Jako Polacy, możemy być ponadto wdzięczni p. Tuwimowi, że wybrawszy dla swej twórczości literackiej język polski, nie kaleczy go, a przeciwnie dba o jego czystość i dźwięczność.

Utwory pozostałych poetów żydowskich (Słonimski, Szenwald, Tuwimówna) stoją pod każdym względem na znacznie niższym poziomie. Całkiem bezwartościowe są też naiwne, pretensjonalne próby młodego krytyka żydowskiego Eigera, ukrywającego się pod polskim pseudonimem „Stefan Napierski".

Z wierszy polskich najlepszy jest krótki utwór p. Marji Pawlikowskiej p. t. „Stwórca". Cykl sonetów p. Jarosława Iwaszkiewicza p. t. „Przypomnienie", przypomina przedewszystkiem starą prawdę, iż forma sonetu jest trudna i nie dla każdego dostępna. Gdy p. Iwaszkiewiczowi nie udało się znaleźć rymu sensownego do „studnie", ratuje się wymyśleniem przysłówka „trudnie" (gdyby szukał rymu do „tratwie", zapewne wzbogaciłby język polski przysłówkiem: „łatwie"). Przykre wrażenie sprawiają też walki między wymaganiami rytmu i sensu, jak np. w zdaniu: „myśląc że to, com zrobił, zrobił jak należy". Autor chciał widocznie powiedzieć: „zrobiłem, jak należy", ale fatalna konieczność usunięcia jednej zgłoski sprawiła, iż czytelnik nie ma możności dowiedzenia się, kto właściwie „zrobił, jak należy", pozostaje mu zaś tylko usprawiedliwione wrażenie, że to jednak chyba nie o p. Iwaszkiewiczu mowa...

Dowodem wyjątkowego braku kultury ze strony autora i redakcji jest wiersz p. Jalu (?) Kurka p. t. „Pieśń bohaterska o Halinie, córce pana Żywiołka, robotnika z Żyrardowa, która tragicznie spłonęła dn. 13 stycznia 1925 r." Barbarzyńskie nieuszanowanie powagi śmierci, wzięcie za punkt wyjścia prawdziwego tragicznego wypadku dla potraktowania go w formie jarmarcznej sensacji, do obrzydliwości zużyta manjera trzeciorzędnych naśladowców Walta Whitmana, polegająca na bezsensownem wymienianiu nazw geograficznych („Czemu telegraf nie skowyczał po Oslo i po Madryt", „spoceni i rozsiani po Wisłach, Sekwanach i Wołgach"), wszystko to budzi przykre, wciąż wzmagające się uczucie niesmaku.

W części, poświęconej krytyce literackiej, znajdujemy oczywiście raz jeszcze nowe rozważania „z powodu „Przedwiośnia" Żeromskiego". Jest coś dziwnie, beznadziejnie pustego i jałowego w tem ciągłem, talmudycznem roztrząsaniu tej nieszczęsnej powieści, należącej do najsłabszych w dorobku znakomitego autora „Wiernej Rzeki". *j. r.*

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

O poecie beskidzkim Emilu Zegadłowiczu, którego poezje w tym zeszycie drukujemy, należy się czytelnikowi, o ile dotąd był odsunięty od życia poezji polskiej, parę słów informacji. Poeta ten uważa górzystą okolicę Beskidu za swój kąt rodzinny. Tam pociągnęły go tęsknoty i miłość świata. Pisywał już od r. 1908, ale dopiero w roku 1921, od utworu „Dziewanny" określił się jego charakter poetycki. Dziś koło niego skupia się plejada poetów, z której najwybitniejszym jest Edward Kozikowski. Rozgłosu tej grupie przysporzyła książka zbiorowa (1925) „Czartak" (nazwa wzięta od dawnej kaplicy arjańskiej w Beskidzie, dziś gospoda), w której oprócz tych dwu poetów umieścili swe utwory: Janina Brzostowska i Tadeusz Szantroch. Od czasu „Dziewann" Zegedłowicz wydał: „U dnia, którego nie znam, stoję bram", „Kolędziołki beskidzkie", „Zielone Święta", „Powsinogi beskidzkie" (dwa wydania 1923 i 1925), „Ballada o Wawrze", „Przyjdź Królestwo Twoje", „Wielka Nowina", „Noc św. Jana Ewangelisty" (misterjum), „Kantyczka Rosista", „Nawiedzeni" (misterjum), „Lampka oliwna" (tragedja), „Gody pasterskie w Beskidzie", „Alcesta" (tragedja) i „Głaz graniczny" (dramat).

Nakładem „Czartaka" wyszedł w tym roku zbiór poezyj E. Kozikowskiego „Wymarsz świerszczów". W przedmowie do tej książki autor nakreślił poetycki program tej szkoły beskidzkiej. Rysem zasadniczem jej — umiłowanie przyrody pozytywne, godne rzetelnych poetów, jako reakcja na „urbanizm", narzucany literaturze przez poetów, bruku miejskiego, zwłaszcza przez Żydów. To, co było w romantyzmie wiecznego, jako prawo szczerych natchnień poetyckich, znajduje w Zegadłowiczu i jego plejadzie swój wyraz. To prawo przetrwało wszystkie mody i przetrwa wszelkie dadaizmy i futuryzmy, pragnące duszy poetyckiej zmylić drogę do przyrody i do źródeł narodowości w sztuce. Zdrowie przezwycięża sztuczność na rzecz sztuki.

*

W zeszycie 1 i 2 drugiego tomu „Prac Komisji do badań nad historją literatury i oświaty", wydawanych przez Tow. Naukowe warszawskie wyszły w opracowaniu Manfreda Kridla dwa utwory Słowackiego: „Le roi de Ladawa" oraz „Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu". Oba te utwory prof. Kridl wydał z autografów, znajdujących się w bibljotece ordynacji Krasińskich w Warszawie. Nasuwa się pytanie, dlaczego, choćby w celu oszczędzenia kosztów instytucji naukowej, nie skoordynowano tych wydań z wielkiem przedsięwzięciem Ossolineum, które jednocześnie wydaje wszystkie pisma Słowackiego?

*

Znany historyk Aleksander Kraushar ogłosił w ostatnich czasach dwie publikacje, dotyczące historji Warszawy. Nader pożyteczną i miłą dla warszawian i wogóle Polaków lekturę stanowić będzie książka „Warszawa historyczna i dzisiejsza" (zarysy kulturalno-obyczajowe), wydana przez księg. im. Ossolińskich (str. 266 z port. autora). Żałować należy, że nie dodano ilustracji.

Druga publikacja, to broszura, wydana przez Związek Rzemieślników Chrześćjan, pragnący się pochwalić, jaką historyczną kamienicę nabył i obrał na swoją siedzibę. „Kamienica kasztelańska" — taki tytuł nosi broszura, pięknie wydana z wielu ilustracjami.

*

„Ziemia" powieść Władysława Kozickiego, drukowana r. 1923 w „Słowie Polskiem" ukazała się w wydaniu książkowem, nakładem księgarni A. Gmachowskiego w Częstochowie.

U SŁOWIAN

Prezydent Czechosłowacji T. G. Masaryk w najnowszej pracy swojej „Rewolucja światowa w czasie wojny i w wojnie 1914—1918" (Svetová revoluce za války a ve válce 1914—1918, Praga 1925, niemieckie wydanie Ern. Reissa, Berlin) daje dokładny obraz stopniowego przenikania wśród prowadzących wojnę państw Europy idei konieczności przeprowadzenia zmian granicznych i ustrojowych. Żywo kreśli ideologję rewolucji rosyjskiej, jak też i z nieubłaganą konsekwencją przedstawia (jak to wielokroć w czasie wojny czynił) konieczność dokonanego rozbioru Austro-Węgier.

*

Znakomity historyk czeski, prof. uniwersytetu w Bratislawie V. Chaloupeckij wydał z końcem r. ub. wielkie dzieło o dawnej Słowacji (Staré Slovensko). Szczegółowo potraktowana praca p. Chaloupeckiego daje krytyczny zarys dziejów Słowacji w wiekach średnich, w epoce rozwoju i upadku państwa wielkomorawskiego. Wszechstronnie opracowane dzieło spotyka się jednak z zarzutami ze strony uczonych słowackich (m. i. prof. K. Kadleca).

*

Powieść H. Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy" wyszła w przekładzie chorwackim J. Benesića, jako I tom „Ilustrowanej bibljoteki młodzieży" wyd. przez księgarnię Z i V. Vasica w Zagrzebiu.

*

„Nowa Europa" (Zagrzeb, Preradovicev tra 9 czasopismo polityczne), wydała w dniu 11 września numer poświęcony sprawom słowiańskim. Pisze w nim dr. Laza Popović o warszawskim zjeździe (z dn. 14 VIII.) sokolstwa słowiańskiego, zaznaczając jego znaczenie dla spraw ogólno-słowiańskich. Antropologiczne założenie ma artykuł prof. Jenksa z Ameryki płnc., p. t. „Słowianie i ich charakter, jak ich osądza się w Ameryce" (wyjątki w tłumaczeniu z angiels.). Dr. I. Esih daje obraz rozwoju idei słowiańskiej w Polsce, kreśląc go „w „dość optymistycznych barwach. W kronice ciekawa recenzja (M. Ćurcina) o dziele Matutinovića „Jedność polityczna Słowian".

TEATR

JUBILEUSZ SOLSKIEGO. — DRAMAT BROŃCZYKA

W TEATRZE Narodowym odbył się starannie przygotowany wieczór jubileuszowy słynnego artysty dramatycznego Ludwika Solskiego. Święcił on pięćdziesięciolecie pracy zawodowej, opartej na niepospolitym talencie, ambitnym wysiłku twórczym i wzorowem umiłowaniu sztuki. Życiorysy jubileuszowe wymieniają kilka dziesiątków ról bardzo rozmaitych, z których znakomicie się wywiązał. Świadczy to o rozległości jego studjów i niewyczerpanym temperamencie artystycznym. Sceny Krakowa, Lwowa i Warszawy, nie licząc pomniejszych, miały w nim swego aktora, reżysera lub dyrektora. W Warszawie od wojny jest filarem dramatu, obecnie w teatrze Narodowym. Na dzień jubileuszu Solski wybrał sztukę nową, nagrodzoną na konkursie, a w niej rolę dla siebie forsowną i tę odegrał pomimo ósmego lat krzyżyka na barkach, w sposób mistrzowski. Sam też sztukę reżyserował.

* *

Wystawione w teatrze Narodowym na jubileusz Solskiego dzieło Kazimierza Brończyka, nosi tytuł „Hetman Stanisław Żółkiewski". Jest to dramat w trzech aktach, napisany wierszem. Akt pierwszy przedstawia posiedzenie Sejmu w Warszawie r. 1619, akt drugi dzieje się w Żółkwi w zamku hetmana Żółkiewskiego w lecie 1620, akt trzeci w obozie nad Dniestrem podczas odwrotu z pod Cecory na Wołoszczyźnie, a więc w początku października tegoż roku.

Pierwszy to utwór młodego autora, pono z Małopolski wschodniej, bardzo szczery, w miłości, widać to, poczęty — w miłości dla Żółkiewskiego, jako najświetniejszego reprezentanta duszy polskiej 17-go wieku. Dramat przez to niewątpliwie wywiera głębokie wrażenie. Nerw dramatyczny autora wyraził się w tem, że potrafił skupić światło na trudnym objekcie — psychice społecznej ówczesnej epoki i wydobył z niej zaród dramatu. Dramat osobisty Żółkiewskiego pokrywa się z dramatem narodowym, jako cierpienie. Bohaterem dramatu w duszy poety była Polska i to stało się wartością utworu. Czy dobry kąt widzenia tego dramatu obrał? O to można się spierać.

Każdy z nas, kto czytał Niemcewicza „Dzieje panowania Zygmunta III" ma wspomnienie, jak nim wstrząsała narracja dziejopisa o doli i niedoli wielkiego hetmana. Do katastrofy życiowej wiódł go fatalizm dziejowy, ucieleśniony w złym kierowniku polityki polskiej, królu obcego pochodzenia, łamiącym duszę narodu. Klęski Cecorskiej, odwrotu bohaterskiego hetmana nie możemy czytać, jak w kronice Xenofonta przygód wojskowych, bez przeżywania dramatu, który był udziałem narodu, wprowadzonego na fatalną pochyłość. I tu należy postawić znak zapy-

tania, czy p. Brończyk utrafił w sedno dramatu dziejowego, stawiając go na kant społeczny. Poeta tak przedstawił rzecz, że przyczyną klęski Cecorskiej i śmierci Żółkiewskiego było warcholstwo szlachty, która nie chciała łożyć na wojsko i bić się. Zapewno dużo prawdy jest w tem tle obyczajowem, w owej rozpuście wolności szlacheckiej, którą przedstawił. Ale przyczyny dramatu leżały głębiej, w fałszywej myśli politycznej, która nie mogła być dobrym wychowawcą obywateli.

Zła polityka Zygmunta III deprawowała naturę polskę, bo nie wiązała się z dziejowym instyktem narodu, była polityką obcą narodowi. Szlachcic polski narowił się w niewłaściwej mu roli obrońcy interesów austryjackich. Nawet Żółkiewski wzdrygał się przed walką z Turcją i szedł na nią wbrew woli, trudno więc dziwić się szlachcie, że nie miała do niej zapału i że wogóle się zdemoralizowała, jako obrona kraju, gdy polityka pchała ją do klęsk i abdykacyj. Przypomnijmy, że z woli króla, a w interesie Wiednia, Polska wyrzekła się przyłączenia Śląska, które się nadarzało; wspólnictwo w grzechach przeciwko narodowi nie może krzepić moralności publicznej. Grzechy przeciwko myśli narodowej były początkiem upadku państwa.

Poeta nowoczesny, po Żeromskim piszący, wolał pozostawić tradycje z racją stanu Szujskim, Bełcikowskim, Glińskim, pociągał go zaś kąt widzenia społeczny. To, co mówi o szlachcie, można zastosować z pożytkiem do demagogji dzisiejszej. Talent uprawdopodobnił sytuację przez jaskrawe skupienie światła na sceny, gdzie zbiorowość przejawiała swoją duszę: w Sejmie i w obozie. Respekt dla myśli przewodniej doradził poecie wyrzec się dodatków w postaci dramatu miłosnego, który zwykle bywa wplatany; na tem zyskały obrazy.

Dzieło p. Brończyka będzie miało swoją wartość w repertuarze, jako widowisko pouczające historji i moralnie nasz wiek budujące. Tchnie bezpośredniością i miłością. Zbliża poprzez 300 lat do odległej, a tak blizkiej nam z dziedzictwa przywar i z powrotnych fal błędu, rzeczywistości.

Z. W.

SZTUKI PLASTYCZNE

Z ZACHĘTY

WYSTAWY większych kolekcyj prac kilku artystów, uzupełniające zbiorową wystawę p. n. „Kompozycja figuralna", mało wnoszą nowego i ciekawego.

P. Stanisław Szygell wystawił szereg pejzaży, malowanych pod widocznym wpływem Stanisławskiego, mało oryginalnych, niekiedy jednak jak np. krajobraz „Narew", nie pozbawionych szczerości i prostoty. P. Wiktor Stępski dał grupę niewielkich obrazów olejnych, głównie widoków Lublina i Sandomierza. Nie zapewnią one artyście sławy nieśmiertelnej, mile jednak mogą ozdobić mieszkanie człowieka, który z tych czy innych powodów ma dla Lublina lub Sandomierza specjalny sentyment. Tę samą poniekąd rolę spełnić mogą akwarelowe widoki Kazimierza i Krzemieńca, malowane przez p. Aleksandra Manna.

Akwarele włoskie p. Bronisława Kopczyńskiego przykry sprawiają zawód miłośnikom tego bądź co bądź utalentowanego artysty. P. Kopczyński dał tym razem szereg obrazków dziwnie pustych i powierzchownych, niezdolnych wzbudzić jakiegokolwiek głębszego uczucia. Piękno Włoch pozostaje tu dla widza równie niedostępne, jak obojętne musiało być dla samego p. Kopczyńskiego, gdy je malował.

Kwiaty p. Władysławy Piątkowskiej stoją właściwie na pograniczu sztuki i życia towarzyskiego. Ta skala talentu, którą artystka reprezentuje, pozwala robić miłe prezenty imieninowe czy gwiazdkowe dla rodziny i znajomych. Ale zbyt wiele od niej żądać nie można.

Wystawa prac ś. p. Ludwika Bębnowskiego wskazuje, iż był on artystą niewątpliwie utalentowanym, choć bardzo nierównym. Większe kompozycje, jak „Sejm na Woli" należą do rzeczy najsłabszych, bardzo dobre natomiast, oryginalne i szczere są niektóre pejzaże, jak „Brzozy", „Jesień" i t. d. Uznanie należy się Komitetowi Towarzystwa Zachęty, iż przez urządzenie powyższej wystawy dał szerszym kołom możność zapoznania się z twórczością tego skromnego, a rzetelnego, szczerze kochającego sztukę artysty.

Kl.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY ZAGRANICZNE

Konferencja w Locarno w sprawie paktu bezpieczeństwa trwa w dalszym ciągu. Min. Skrzyński przeprowadził w sprawach, dotyczących Polski, szereg rozmów z pp. Briandem, Chamberlainem i Stresemannem.

Przy wyborach do Rady miejskiej w Rydze Polacy uzyskali dwa mandaty.

Do Polski przybyła wycieczka parlamentarzystów francuskich.

SPRAWY WEWNĘTRZNE

Po wysłuchaniu opinji konwentu senjorów, marszałek Rataj odłożył posiedzenie Sejmu do dnia 20 b. m.

Według dotychczasowych danych na podstawie deklaracyj przywozowych i wywozowych stwierdzić można, że bilans handlowy Polski za wrzesień r. b. wykaże przewyżkę wywozu nad przywozem.

Komisja Administracyjna Sejmu uchwaliła znieść t. zw. Delegaturę Rządu na Wileńszczyznę. Okrąg Administracyjny Wileński ma się odtąd nazywać Województwem Wileńskiem, a delegat Rządu—wojewodą.

Przyśpieszenie budowy portu w Gdyni uchwalono na specjalnej naradzie, zwołanej przez ministra przemysłu i handlu p. Klarnera.

W Warszawie odbyło się święto przysposobienia wojskowego i wyszkolenia rezerw. W defiladzie wzięła udział młodzież szkolna, uzbrojona w karabiny, organizacje „Sokoła" i straży ogniowej.

We Lwowie rozpoczął się proces przeciwko S. Steigerowi, oskarżonemu o zamach na życie Prezydenta Rzeczypospolitej.

KRONIKA ŻAŁOBNA

Zmarł w Warszawie ś. p. ks. Jan Gnatowski, zasłużony kapłan, wybitny literat, autor szeregu powieści i nowel, drukowanych pod pseudonimem Jana Łady.

W Krakowie zmarł ś. p. Paweł Dombek, prezydent m. Królewska Huta, b. poseł na Sejm, zasłużony działacz polski na Śląsku.

W Równem zmarła ś. p. Ida Strzemieczna, zasłużona działaczka oświatowa i społeczna na kresach wschodnich.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu St. H. i wszystkim tym, którzy nam złożyli dowody uznania za poziom pisma i jego wartość, składamy w tej drodze wyrazy serdecznej podzięki, taki bowiem kontakt sympatyczny z czytelnikami niezmiernie zachęca do pracy.

Pani Kl. M. Zeszyty okazowe rozesłaliśmy tym osobom, co do których mogliśmy przypuszczać, że tygodnik na poziomie literackim utrzymany odpowie ich potrzebom umysłowym. Bardzo dziękujemy za słowa uznania i zachęty. Do całości prenumeraty za r. 1926, brak 8 zł., tyle bowiem zaliczyliśmy na kw. bieżący.

Panu M. T. w Wilnie. Skoro mamy podnosić kulturę umysłową, to nie możemy schlebiać mętom ulicy, która szuka takiej uciechy w pismach, jak na placu zabaw. Nie trzeba tak nizko szacować sfery oświeconej w Polsce. Coraz więcej jest ludzi, którym obrzydła poziomość zainteresowań t. zw. półinteligencji i pragną podciągać się na wyższy poziom, gdzie zaczyna się życie wewnętrzne.

Panu H. Por. we Lwowie. W tym celu załączyliśmy do zeszytu okazowego czek na PKO. Sympatje czytelników powinny być realizowane w prenumeracie, inaczej ono nie dźwignie się należycie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.150.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.